

Zofia Słowikowska ps. Zojda

*Moje wspomnienia okupacyjne
ze Szpitala Maltańskiego*

Zofia Słowikowska - po mężu Bogdan (ur. 16 marca 1921 roku w Warszawie, rodzice: Kazimira Janina, Saturnin)

Pseudonim „Zojda” (w Szpitalu pseudonim Czarny Kajtek)

Pielęgniarka Wojskowego Szpitala Maltańskiego , od 7 września 1939 do 12 października 1944

Uczestniczka Powstania Warszawskiego

Śródmieście Północ - Śródmieście Południe, "Bakcyl" (Sanitariat Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej) - Szpital Maltański

Działalność w Ruchu Oporu od kwietnia 1943 do października 1944

Kombatantka

Odznaczenia:

Medal za udział w wojnie obronnej 1939

Medal za Warszawę 1939-1945

Medal Wojska Polskiego (za służbę sanitarną w AK przyznany w Londynie w 1948 roku)

Krzyż Armii Krajowej (ustanowiony w Londynie 1 sierpnia 1966 przez gen Bora-Komorowskiego, przyznany w Londynie 22 Listopada 1989)

Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami za udział w zdobywaniu "Pasty"

Warszawski Krzyż Powstańczy

Szpital Maltański w moich wspomnieniach

Warszawa, 1 września 1939, godzina 6 rano, budzi mnie warkot samolotów bojowych. Przekonana jestem iż nasi lotnicy mają ćwiczenia. Nastawiam radio i słyszę straszną wiadomość: Niemcy napadli na Polskę". Zaczęła się wojna. Za chwilę słychać wycie syren ostrzegających ludność przed zbliżającym się nalotem. Do szpitali zwożą pierwszych rannych. Po kilku dniach, przez radio ogłaszają o organizowaniu punktów sanitarnych i szpitali.

Do Szpitala Maltańskiego zgłosiłam się 7 września. Ulica Senatorska, wspaniały pałacyk, siedziba Resursy Kupieckiej (obecnie Ambasada Belgijska), z pięknymi salami balowymi, kryształowymi żyrandolami, obrazami wielu znanych malarzy na ścianach w kilka dni zamienia się w szpital, organizowany przez naszą arystokrację, jako Wojskowy Szpital Maltański. Mój Boże, tyle lat minęło i chociaż pamięć często zawodzi, to pozostało jednak coś z tamtych lat. Na początku pracowałam z siostrami Tarnowskimi - Stanisławą i Haliną. Potem pomagałam w magazynie szpitalnym, w którym szefową była siostra Ludgarda Samożłowicz, nazywana przez nas „Mamą”, a to dlatego iż my trzy, tj. Lilka Łozińska-Michałowska, Sławka Czerwonka-Przewłocka, i ja, nazywana „Czarnym Kajtkiem” byłyśmy najmłodsze. Później dołączyła do nas Halszka Grodzicka -Tarnowska.

Zorganizowano dla nas specjalny kurs sanitarny, który wszystkie trzy ukończyliśmy. Po kursie, siostra przełożona skierowała Sławkę do Pracowni rentgenowskiej, prowadzonej przez dr Kazimierza Lewandowskiego, gdzie pracowała aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Ja rozpoczęłam służbę na Sali opatrunkowej, pod opieką dr Hali Koźniewskiej. Lilka pozostała w magazynie bieliźnianym, gdzie pod bielizną, kocami i poduszkami przechowywana była broń, którą posługiwano się podczas różnych akcji zbrojnych A.K.

Podczas okupacji, pomimo ciężkich szpitalnych warunków, tworzyliśmy wszyscy razem jedną wielką rodzinę, na czele której stali: wspianała siostra Magdalena Lipkowska, przełożona Barbara Glińska i komendant hr. Stanisław Lipkowski -Milewski. Można by tu wymienić jeszcze wiele nazwisk lekarzy, pielęgniarek jak i personelu pomocniczego, wiele z tych osób pochodziło z arystokratycznych i ziemiańskich rodzin.

Nasze pielęgniarki, kiedy była taka potrzeba, same oddawały krew rannym. Pierwszą, która to zrobiła była Renata Ostrowska, następna po niej-Sławka Czerwonka. Staraliśmy się też umilać czas pobytu rannym organizując koncerty, w których uczestniczyli instrumentalisci i wokaliści m. in. Mieczysław Fogg i chór Dana, Irena Dubiska. Zofia Meyer zorganizowała na Boże Narodzenie Jasełka, w których wzięli udział zarówno personel Szpitala jak i sami chorzy. Mirka Szamborska była Matką Boską, Lilka Łozińska, Halinka „Złocista”, ja, Incia Śliwicka oraz dzieci naszych pracowników – byliśmy aniołkami.

Później nastąpił bardzo smutny okres w życiu Szpitala. Naszemu Komendantowi polecono przygotować szpital do przyjmowania ludności cywilnej, na wypadek wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Wszyscy oczywiście przystąpiliśmy do pracy. Najpierw przeniesiono rannych oficerów do Szpitala Ujazdowskiego, a w niedługim czasie także i żołnierzy Znoszono na parter pościel, którą trzeba było reperować, w ogrodzie czyszczono koce. Pracowałyśmy pod kierunkiem Marysi Nowakowskiej-Dąbrowieckiej. Zresztą to obowiązkiem oddziałowej było przygotowanie wraz z personelem szpitala do przyjmowania chorych.

Na parterze oddziałową była Marysia Nowakowska, na I piętrze Staszka Korzonówna. Na parterze, w Sali nr 2, zorganizowano oddział zakaźny dla chorych na „różę”, gdzie z doktorem Boguszewskim pracowałam jako siostra opatrunkowa. Po kilku miesiącach oddział został zamknięty, częściowo z braku pacjentów. Na parterze były 2 oddziały: chirurgia i interna, na I piętrze – neurologia, interna i chirurgia. Ponieważ siostra przełożona przeniosła oddziałową Marysię Nowakowską na I piętro, otrzymałam polecenia przejścia razem z nią. I tak razem pracowałyśmy aż do Wybuchu Powstania.

Jednym z przykrych momentów było przyjście Gestapo po dr Raczewa. Na szczęście nie było go w Szpitalu. Siostra Magdalena Lipkowska podała mi adres dr Zofii Bogowolskiej, pod który miałam się udać aby można było ostrzec doktora. Po raz pierwszy, podczas okupacji, zdecydowałam się na przejazd ulicami Warszawy dorożką. Najpierw dotarłam na Złotą. Tam dr Bogowolska podała mi adres gabinetu dentystycznego, przy Placu Zbawiciela. Stamtąd udałam się pod kolejny adres do budynku przedwojennej Ambasady Bułgarii, w Alejach Ujazdowskich. Dorożkarz chyba zorientował się jaki jest cel moje wyprawy,

ponieważ nie przyjął ode mnie zapłaty za kurs. Wyprawa ta zakończyła się szczęśliwie dla doktora, gdyż Gestapo nie udało się go aresztować.

Pamiętam jak pewnej nocy, w trakcie dyżuru, który pełniłam z Polą Stańczyk i dr Lewandowskim, usłyszeliśmy potworne walenie w drzwi wejściowe Szpitala i żądanie ich otwarcia. Myślałyśmy, że to nasi chłopcy przywieźli nam rannych z akcji. Otwierając drzwi ujrzałam Gestapo. Otoczyli mnie, jeden z nich zapytał o nazwisko (miał listę osób przeznaczonych do aresztowania). Otrzymałam polecenie pójścia z nim na I piętro (cały czas mówił po polsku), na sale operacyjną (mieściła się za małą salą nr 7), bo tam można było znaleźć Halę Koźniewską, która w tym czasie pełniła funkcję siostry operacyjnej. I znów dzięki Bożej Opatrzności Hala też uniknęła aresztowania, ponieważ akurat w tym dniu, dzięki Zosi Meyer, wyjechała poza Warszawę.

Życie szpitala toczyło się dalej. Przybyło do nas 20 wspaniałych chłopców, którzy razem z nami pełnili dyżury. Stanowili oni oddział Ratowniczej Służby Sanitarnej i zakwaterowani zostali w sąsiednim budynku Banku Landaua. Część personelu odeszła ze szpitala, kilka dyplomowanych pielęgniarek zasiliło naszą kadrę. Część personelu założyła rodziny, które z czasem powiększały się, przychodziły na świat ich dzieci. Atmosfera w Szpitalu cały czas była wspaniała. Nie było żadnego dystansu pomiędzy nami-siostrami po kursie sanitarnym, oczywiście z dużą już praktyką, a dyplomowanymi pielęgniarkami. Różniły nas tylko czepki. Pielęgniarki miały na czepkach czarny pasek, my natomiast odznakę maltańską (maltański krzyż). Przez cały czas trwania okupacji i powstania Szpital Maltański był dla nas drugim domem. Sprzyjał temu fakt iż przebywałyśmy ze sobą praktycznie 24 godziny. Wielu z nas mieszkało w sąsiednim budynku, po lewej stronie szpitala, w opuszczonych mieszkaniach.

Podczas okupacji do szpitala często przywożono rannych z akcji podziemia, m.in. z akcji pod Arsenalem, akcji na Kutcherę i po napadzie na Bank na Danilowiczowskiej. Personel Szpitala brał też udział w ratowaniu dzieci Zamojszczyzny. Helen Brzozowska przywiozła małego Józia, któremu wszystkie matkowałyśmy. Mój Tata nawet robił mu zabawki. Jeszcze przed Powstaniem Józio został wywieziony z Warszawy i umieszczony u zakonnicy. Uratował się i utrzymywał po wojnie kontakt z nami. Przyjechał na uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej na budynku dawnego Szpitala, w rocznicę 50-lecie jego utworzenia.

W czasie działalności w Konspiracji, przygotowując się na wypadek walki zbrojnej, prowadziłam kursy dla przyszłych sanitariuszek w prywatnych mieszkaniach, m.in. na Marszałkowskiej, Wilczej. Później moje kursantki odbywały 2-tygodniową praktykę w naszej szpitalnej sali opatrunkowej. 31 lipca, siostra przełożona pielęgniarek wydała nam rozkaz stawienia się 1 sierpnia, w godzinach rannych, w Szpitalu. Część naszego personelu otrzymała przydziały do różnych oddziałów m.in. Zosia Radłowska, Maryś Grodzicka, Helena Brzozowska.

1 sierpnia wyszłam z domu (na ul. Tarczyńskiej), pożegnałam się Mamą i bratem, który też dostał przydział, na Okęcie (o czym dowiedziałam się później, po wojnie od sąsiadki, bo w domu o tym się nie mówiło, mogliśmy się tylko wzajemnie domyślać o naszej

działalności w Podziemiu). Oboje widziałam po raz ostatni. Ojciec był poza Warszawą i dzięki temu się uratował. Mama i brat zostali wyprowadzeni z Warszawy i wywiezieni 6 sierpnia do Oświęcimia i już nie wrócili. Brat z Oświęcimia został przewieziony do KL Natzweiler, gdzie zmarł. Przez pierwsze 5 dni Powstania pomagał sąsiadce (pielęgniарce) opatrywać rannych na Tarczyńskiej.

Dyżur 1-go sierpnia miałam po południu. Po usłyszeniu pierwszych strzałów i przyniesieniu rannego Niemca wybiegłam ze szpitala. Biegnąc w kierunku Placu Bankowego zobaczyłam leżącego rannego żołnierza, w polskim mundurze. Leżał przy fontannie. Cudem jakimś uniosłam go, wzięłam na plecy, z pełnym ekwipunkiem (z bronią) i prawie zaciągnęłam do szpitala. Dziewczyny pomogły mi wnieść go do holu, gdzie na noszach leżało już kilku rannych Niemców. Mój ranny, był pierwszym rannym powstańcem w naszym Szpitalu. Po wyleczeniu, wrócił do swojego oddziału, potem zginął i został pochowany na ulicy Moniuszki. Byłam obecna podczas jego pogrzebu. Bardzo szybko zaczęto znosić następnych rannych. Jeszcze pierwszej nocy do Szpitala weszli Powstańcy, od strony Bielańskiej.

4 sierpnia dotarł do szpitala szef sanitariatu KG AK płk. dr. Leone Strehl, ps. "Feliks", który od 5 sierpnia został komendantem naszego Szpitala.

7 sierpnia, oddziały żołnierzy niemieckich zaczęły wypędzać ludność cywilną z sąsiednich domów, w tym także część mieszkającego w nich naszego personelu. Była wśród nich, w tym pędzonym tłumie, nasza siostra przełożona. Patrzyliśmy na nią bezradni, nie mogliśmy jej ratować. Wszystkich skierowali w stronę Dworca Zachodniego. Sami też przygotowywaliśmy się na to, że w następnej kolejności nas wypędzą, tak jak robili to na Woli, gdzie mordowano chorych i personel Szpitala. Uratował nas właściwie fakt, że wśród rannych mieliśmy Niemców, którzy leżeli w Sali nr 6 (na I piętrze) i którzy zapewniali iż byli traktowani tak samo jak pozostali, polscy ranni. To chyba zadecydowało, że dowódca oddziału niemieckiego zarządził zbiórkę personelu, który w tym czasie zdążył się już powiększyć o kilka powstańczych sanitariuszek z rozbitych oddziałów. Otrzymałyśmy rozkaz zakazu poruszania się po terenie szpitala. Mogliśmy przebywać na dole, w holu, w kancelarii i na korytarzach. Wyznaczono 2 pielęgniarki tj. Mirkę Szamborska i mnie jako łączniczki pomiędzy parterem i I piętrzem. Ponieważ w tym czasie, na tyłach Szpitala, w ogrodzie stacjonował oddział powstańczy, Mirka mogła informować ich o tym co działo się na terenie Szpitala.

Następnego dnia, już właściwie w nocy, usłyszeliśmy od strony Senatorskiej serię strzałów, skierowanych w naszym kierunku. Wszyscy byliśmy przekonani, że to nasi chłopcy-powstańcy rozpoczęli atak, aby zdobyć szpital. Okazało się jednak iż był to kolejny oddział niemiecki. I tak znowu przybyło nam trochę rannych Niemców, którzy wzajemnie do siebie strzelali. Oczywiście z tego zamieszania skorzystali powstańcy i w rezultacie znów byliśmy chwilowo wolni, ponieważ Plac Bankowy i Senatorska przeszła w ręce powstańców. Nareszcie można było wyjść poza teren Szpitala. Część personelu została opiekować się rannymi, reszta wyruszyła na poszukiwanie lekarstw i żywności.

Na ul. Bielańskiej mieściły się Zakłady Farmaceutyczne, skąd w prześcieradle, na plecach przyniosłam środki opatrunkowe, zastrzyki, lekarstwa. Mam nadzieję, że za popełnienie tej i innych „kradzieży” otrzymamy z koleżankami rozgrzeszenie. Bardzo dzielna Kryśka Rosochacka przywiozła zdobytym samochodem pościel i żywność. Ja, wraz z Polą Stańczak pobiegłyśmy na Wierzbową róg Senatorskiej, do niemieckiego sklepu i na porzuconą rykszę załadowałyśmy puszki z marmoladą i pozostawioną żywność. Ponieważ od strony Placu Teatralnego szła sobie krowa, postanowiłam przyprowadzić ją do Szpitala (w tym czasie ranna kobieta urodziła dziecko). Nie mając żadnego sznurka, zdecydowałam się popychać ją, opierając się rękoma o jej zad. Tak doprowadziłam krowę do szpitala, chociaż Niemcy, stacjonujący w Ogrodzie Saskim, stali za ogrodzeniem i obserwowali mnie. Idąca ze mną Pola kierowała rykszą. W szpitalnym ogrodzie siostra Celina Sobieraj wydoiła krowę i dzięki temu mama naszego noworodka miała zapewnione mleko dla siebie i swojego maleństwa.

14 sierpnia, Niemcy pędząc przed czołgami ludność cywilną, zdobyli nasz Szpital. Zaczęła się dla nas największa tragedia. Wypędzono nas razem z naszymi rannymi, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Wynosiliśmy ich na łóżkach, noszach, drzwiach i deskach, w tym i naszego rannego Komendanta Stanisława Lipkowskiego. Byliśmy przygotowani na to, że wszyscy zostaniemy rozstrzelani. Pierwszą ofiarą był dr Kazimierz Lewandowski, którego Niemiec uderzył kolbą w głowę. Dzięki dr Dreyzie, który mówił po niemiecku, nie został rozstrzelany Tomek Chaciński. Dreyza, jako argument używał fakt, że w szpitalu są też ranni Niemcy, bardzo dobrze traktowani, co zresztą oni sami potwierdzili.

Po pewnym czasie rozkazano nam brać łóżka i nosze z rannymi i wyruszać. Ta straszna karawana miała iść w stronę Woli. Dr Strehl, doskonale władający językiem niemieckim, przekonał Niemców, że ponieważ nasz Szpital jest filią Szpitala Ujazdowskiego to właśnie tam mamy się kierować z pierwszą grupą. Ja niosłam na noszach, razem z Mirką, rannego dr Lewandowskiego. Przeniosłyśmy go przez Ogród Saski aż do barykady na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej. Powstańcy odebrali go od nas i przekazali dalej, na kwaterę. W Szpitalu pozostało kilka sióstr na czele z dr Dreyzą oraz kilkunastu chorych, w tym kilku rannych Niemców. Ta druga karawana poszła w stronę Woli.

Dzięki decyzji pułkownika, dr Strehla, dowódcy służby sanitarnej Powstania, który szedł z nami na początku pochodu, skierowaliśmy się w stronę ulicy Przechodniej i Ogrodu Saskiego, a nie w stronę Woli. Tam z pewnością wszystkich nas by wymordowano. To on nas uratował od niechybnej rzezi. Za to co zrobił, przeprowadzając nas inną drogą, chociaż w Ogrodzie Saskim było pełno Niemców i Ukraińców, nazwaliśmy go *Mojżeszem*.

Przed wejściem do Ogrodu Saskiego zatrzymano nas na chwilę i wtedy banda własowców, w niemieckich mundurach, zaczęła z nas brutalnie ściągać zegarki, kolczyki, pierścionki, obrączki. Siostra Adamiec niosła na plecach spory tobołek z lekarstwami. Własowcy, sądząc że ma w nim skarby, zażądali oddania go. Wtedy to siostra, nosząca na szyi spory różaniec, uczyniła nim znak krzyża, co spowodowało iż własowcy chyba się przestraszyli „odczynionych uroków” i uciekli.

W budynku na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej mieściła się kwatera powstańców. Chłopcy, widząc naszą karawanę zaczęli strzelać w górę, dzięki czemu nasza eskorta błyskawicznie się rozbiegła na teren Ogrodu Saskiego, a my szczęśliwie dotarliśmy do barykady, zamykającej ul. Marszałkowską. I znów, dzięki Boskiej Opatrzności, zostaliśmy uratowani i zakwaterowano nas w budynku przy ul. Zgoda 5.

Pomimo ogromnego przemęczenia, bardzo szybko zaczęliśmy w nowym miejscu organizować nasz Szpital. Byliśmy już przyzwyczajeni do ciągłych walk i niepewności jutra. Wokół nas panował względny spokój, ponieważ w tym czasie największe walki toczyły się na Starówce. Ten spokój panował tylko do momentu, kiedy padła Starówka. Ponieważ część powstańców przedostawała się ze Starówki do Śródmieścia kanałami, zorganizowano dyżury służby sanitarnej przy wjazdach na Świętokrzyskiej i Wareckiej. Dyżury te pełniło też kilka naszych sanitariuszek. Ja miałam dyżur na Wareckiej.

19 sierpnia, Komendant Szpitala Maltańskiego otrzymał rozkaz oddelegowania dwóch sanitariuszek do oddziałów powstańczych walczących przy zdobywaniu „Pasty”. Natychmiast zgłosiłam się razem z Janką Matulewicz. Wyruszyliśmy z oddziałem ugrupowania „Kiliński” o godz. 4 rano, z ul. Złotej, przeskakiwaliśmy pojedynczo przez Marszałkowską, do miejsca skąd rozpoczął się szturm na „Pastę”. Cóż to była za radość widzieć wyprowadzanych przez powstańców Niemców, idących z podniesionymi rękoma. Rozkazem Komendanta, płk dr Stefana Tarłowskiego (pseudonim „Tarło”) obie otrzymałyśmy Brązowe Krzyże Zasługi z Mieczami, za udział w zdobyciu „Pasty”. Po tej szczęśliwie zakończonej akcji wróciłyśmy do Szpitala, nie wiedząc, że niedługo musimy na nowo go organizować.

Niemcy zaczęli atakować Śródmieście, bombardując je przy użyciu 100 kilogramowych pocisków, nazywanych przez powstańców „ryczącymi krowami”. Strzelali od strony Dworca Zachodniego. Jeden z nich trafił w budynek, wpadł do naszego dopiero co zorganizowanego Szpitala, raniąc i zabijając wielu powstańców, a także część naszego personelu, w tym m.in. naszego szefa kuchni, Pana Golińskiego. Kiedy pocisk wpadł do budynku ja znajdowałam się na I piętrze naszego Szpitala. Pamiętam tylko, jak wybuch rzucił mnie na drzwi, które wraz ze mną zjechały na parter. Znowu Opatrzność nade mną czuwała, bo przeżyłam. Pozostałych rannych przenieśliśmy do Domu pod Orłami. Niewielka garstka nas znalazła schronienie w pomieszczeniach księgarni Gebethnera i Wolffa.

Następny pocisk wpadł do Banku, znów zabijając i zasypując pod gruzami wszystkich, którzy w nim się znajdowali. Nikt nie ocalał. Uratowali się tylko ci, którzy znajdowali się w księgarni. Ta pozostała przy życiu garstka rannych i personelu, z dr Lewandowskim na noszach, przez wykop w Alejach Jerozolimskich, cały czas ostrzeliwany przez Niemców z gmachu Banku B.G.K. przeszła na ulicę Śniadeckich. Tam, w budynku szkolnym, na parterze (gdzie spali powstańcy) i w podziemiu, gdzie „spał” na czym się dało personel oraz była kuchnia i stołówka zorganizowaliśmy kolejny nasz Szpital Maltański. W naszej kuchni w menu była często jako danie główne i jedyne zupa „pluj”, czyli gotowana pszenica i żyto.

W tym budynku, na podwórzu, zginął od odłamka, przytulony do moich piersi i wystraszony syn naszego dr Żebrowskiego. Po tym zdarzeniu pozostał mi częściowo grzebień z kości rogu z powyłamywanymi ząbkami, który trzymam jako pamiątkę do dziś.

Pomimo wciąż toczących się ciężkich walk, staraliśmy się podtrzymywać na duchu naszych rannych powstańców, organizując dla nich m.in. koncerty, w których brali udział muzycy i aktorzy. W jednym z nich wzięła udział Irena Dubiska. Ponieważ dostałam w prezencie od jednego z powstańców malutki bochenek chleba, podzieliłam się nim z Panią Ireną.

Podczas trwającego 24 godziny zawieszenia broni, Niemcy zezwolili ludności cywilnej na opuszczenie Warszawy. Utworzono 2 punkty wyjścia, jeden przez Aleje Jerozolimskie, drugi - z ulicy Śniadeckich. I znów personel Szpitala, przez całe 24 godziny, prznosił tych rannych, którzy nie mogli samodzielnie poruszać się, z ul. Śniadeckich do punktu, mieszczącego się w Szpitalu im. J. Piłsudskiego, przy ul. 6 Sierpnia (obecnie Nowowiejskiej). Używaliśmy do tego nosze i krzesła. Dziś, po tylu latach, nie potrafię powiedzieć jak to było możliwe, że po tak ciężkich przejściach i przy tak skromnych posiłkach (raz dziennie kisiel lub ta słynna powstańcza zupa) miałyśmy jeszcze siłę nosić dalej naszych rannych. Chyba Pan Bóg czuwając nad nami dodawał nam też tych sił.

Potem nastąpiła kapitulacja. Uzgodniono dzień i godzinę wyjścia naszego wojska - powstańców z miasta i „udanie” się do niewoli niemieckiej. Przy prowizorycznym ołtarzu, ustawionym na ul. Śniadeckich, odbyła się ostatnia Msza Święta w zniszczonej i spalonej w Warszawie. Odmówił ją nasz ksiądz kapelan. Na koniec wszyscy odśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”, kończąc słowami „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”. Żegnaliśmy się wszyscy z naszymi powstańcami, udającymi się do niewoli. Poszły z nimi też nasze pielęgniarki: Sławka Czerwonka, Krysia Rosochacka i kilka sanitariuszek. Pozostały personel, z własnym sprzętem i łózkami, został ewakuowany samochodami ciężarowymi do Piastowa, do Fabryki Tudora.

W Piastowie pożegnałam się z wszystkimi, gdyż zostałam zabrana przez rodzinę mojego przyszłego męża, który przez krótki czas był w *Maltańcu* (jak nazywaliśmy nasz Szpital) w Ratowniczej Służbie Sanitarnej. Razem też w okresie okupacji, w wolnych chwilach (ja w przerwach pomiędzy dyżurami) uczęszczaliśmy do Konserwatorium na Okólniku, ja studiowałam śpiew a mój przyszły mąż fortepian. Nie zostaliśmy zawodowymi muzykami ale pasję do muzyki przekazaliśmy naszej córce, która ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie. Syn ukończył Politechnikę Warszawską i przejął, po obu dziadkach, tradycje (jeszcze z czasów przedwojennych) związane z pracą na kolei.

Po zakończeniu wojny nasza rodzina z *Maltańca* dalej funkcjonowała poza Szpitalem, który został przeniesiony z Piastowa do Częstochowy i w niedługim czasie zlikwidowany. Odnaleźliśmy siebie i staraliśmy się spotykać tak często, jak to tylko było możliwe (my pielęgniarki i nasi lekarze). Niektórzy nie wrócili już do Warszawy, ale przyjeżdżali na Msze, które odbywały się w kościele św. Antoniego (na Senatorskiej) i na nasze spotkania, które organizowaliśmy w naszych warszawskich domach. W ostatnich latach utrzymywałam wciąż

kontakty z Mirką Szamborską, która mieszkała w Gdańsku i Sławką Czerwonką - Przewłocką, która mieszkała w Krakowie. Obie już odeszły.

Jestem chyba ostatnią żyjącą jeszcze pielęgniarką/sanitariuszką Wojskowego Szpitala Maltańskiego, która była z nim związana od pierwszego dnia jego utworzenia (uczestnicząc w jego organizacji) aż do samego końca.

Warszawa, sierpień 2018